Nr. 22. Lwów, dnia 1. Sierpnia 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** zlr., półrocznie **3** zlr kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów

W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya i Administracja „*Wieczorów zimowych*“ **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie:** każdego 1 go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy)

XXVI.

Właśnie gdy br. Maurycy dochodził do kantoru, w bramie od ogrodu ukazał się pan Miliński. Nadszedł pieszo od Trzcińca i skierował się także ku temu budynkowi, w którym kantor się mieścił.

Br. Fryderyk, ujrzawszy go przez okno, zmarszczył czoło, jakby widok tego człowieka w tem miejscu dotknął go nieprzyjemnie. Gdy pan Miliński z oczu mu zniknął, odstąpił od okna i na środku pokoju stanąwszy, zaczął mówić do siebie:

— To nie bez ale. W ostatnich czasach Silber był tu kilka razy, a proboszcz z Trzcińca niedawno mi mówił, że interesa Milińskiego nie są najlepsze. Szkoda by go było... Pracowity, uczciwy i ma dzieci... Założyłbym się niewiedzieć o co, że przyszedł po pieniądze. Zobaczymy.

To powiedziawszy, wziął kapelusz, laskę i zszedł na dół. Nie udał się jednak do kantoru, lecz krokiem wolnym ogród minąwszy, wyszedł na drogę do Trzcińca prowadzącą. Spodziewał się, że jeżeli gdzie, to najlepiej tu zejdzie się z panem Milińskim, i tak się też stało. W niespełna pół godziny, usłyszał za sobą najpierw szybkie kroki, potem wołanie:

— Dzień dobry panu baronowi!

Stanął i obrócił się, jak by nie wiedział, kto go wita.

— A, pan Miliński!.. Bardzo mi przyjemnie, jak się pan ma.

— Jak zwykle, doskonale! — odrzekł zapytany, baronowi z uśmiechem rękę podając. Baron, który przy przywitaniu wpatrywał się bystro w oczy panu Milińskiemu, zauważył, że twarz jego była trochę blada, a głos drżał mu lekko.

Chociaż u siebie nie bywali, znali się oddawna. Kościół i probostwo, były temi miejscowościami, w których często się spotykali, a lubo pan Miliński z zasady niemców unikał, bo ich nie lubił, nie taił jednak ani przed sobą, ani przed księdzem Błażejem, że dla barona Fryderyka miał sympatję. Co w archeologu głównie mu się podobało, to ta uczciwa bezstronność, z jaką wyrażał się o wszystkich narodach. I nie było to w nim ani udane, ani nie wyuczone. Przeciwnie, słowa jego, gdy mówił, taką tchnęły prawdą, że ktokolwiek go słyszał, musiał uwierzyć, iż jest kosmopolitą z przekonania, szukającym w człowieku nie francuza, nie niemca, nie polaka, lecz przedewszystkiem człowieka. Ponieważ pan Miliński czuł w głębi duszy, że do takiej beztronności, choćby nawet tego pragnął, nigdy by się wznieść nie potrafił, on bowiem kochał swoją ojczyznę najgorręcej, przeto tym większy miał szacunek dla barona, im mniej sam był zdolnym i miał chęci dążyć aż do tej ducha wyżyny, na której jego widział.

Po kilku słowach wstępnych, zapytał barona dokąd idzie.

— Chciałbym się przejść trochę dalej niż zwy-

kle, bo to ciągłe kręcenie się po ogrodzie już mnie znudziło. A pan dokąd?

— Ja wracam do domu — odpowiedział pan Miliński.

— Prawda, zapomniałem, że pan w tej stronie mieszka... A gdzie pan był teraz?

— Chodziłem do pańskiego brata.

— Zapewne w interesie

— Tak jest... chciałem z nim pomówić o burakach.

— O burakach? Czy w Trzcińcu dużo ich pan sadzi?

— Dotąd jeszcze nie zbyt wiele, ale kto wie czy bym produkcji nie powiększył, gdybym miał zapewnioną dobrą cenę.

— Mnie się zdaje, że brat powinien by panu dać lepszą niż ktokolwiek inny, bo przecie on potrzebuje tu najwięcej buraków.

— I ja bym tak sądził.

Chwilę szli nic nie mówiąc. Potem pan Miliński dotknął spraw publicznych, a głównie prześladowania przez rząd kościoła katolickiego w całej Wielkopolsce, co w owym roku wszystkich najgłębiej obchodziło i wzruszało. Baron słuchał, lecz ust nie otwierał. Dopiero gdy pan Miliński w miejscu ważniejszem urwal i na odpowiedź czekał, towarzysz jego niespodziewanie zagadnął:

— Czy w Trzcińcu masz pan ziemię buraczaną, że chcesz sadzić większą ilość tego artykułu?

Pan Miliński wypatrzył się na barona jak na warjata. On mówił o sprawach publicznych, a ten mu drugi raz wyjechał z burakami. Mimo to chcąc się zastosować do kaprysu dziwaka, zaraz mu odpowiedział:

— Być może, że ziemia moja nie jest całkiem buraczana, mam wszakże nadzieję, iż przez kulturę tak ją udoskonalę, że potem wszędzie będę mógł buraki sadzić.

— Więc trzeba ją dopiero udoskonalić — rzekł baron, jakby do siebie. — No, no, daj Boże szczęście — głośniej dodał. — Burak to produkt cenny.

Tak rozmawiając doszli do tego samego lasku, w którym niedawno pani Eleonora czekała z siostrą i dziećmi na przyjazd matki.

Słońce tymczasem wybiegło już dość wysoko i zaczynało być gorąco Baron stanął i chustkę wyjąwszy, zaczął sobie obcierać czoło i łysinę.

— Tak przyjemnie zszedł mi czas w pańskiem towarzystwie — rzekł — że ani wiem, kiedym się pod Trzcińcem znalazł. Teraz trzeba do domu wracać.

— Gdy jednak do Trzcińca znacznie już bliżej, niż do Komarowa, więc może pan baron zechce łaskawie do mnie wstąpić, a ja go końmi odeszlę, bo i tak wkrótce będzie wielki skwar.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję, na kiedy indziej zamawiam sobie tę przyjemność, ale ponieważ jestem trocha zmęczony, więc ośmielę się w pańskim lasku chwilę wypocząć. Spodziewam się, że nie będziesz pan nic miał przeciw temu?

— Jak nawet o czemś podobnem możesz mówić baronie!

— Bo wy, panowie polacy, ponoś nas nie lubicie, więc też niechętnie widujecie nas na swojej ziemi. Czy tak?

Na to żywo odpowiedział pan Miliński:

— Sądzę, że nie każdy niemiec jest naszym nieprzyjacielem.

— Niech się więc panu zdaje, że i ja nim nie jestem — rzekł baron wesoło — i nie tylko pozwól mi spocząć na swojem terytorjum, lecz zechciej także chwilę ponudzić się ze mną, dopóki nie odpocznę i nie odejdę.

— I tego baronie nie potrzebowałeś odemnie żądać... Wszak na mojej ziemi, jest każdy moim gościem.

— Grzeczniście panowie, bardzo grzeczni — mówił baron, idąc ku małej wyżynie, na której rosły stare sosny — i gdyby towarzyskim waszym cnotom przyszły jeszcze w pomoc takie przymioty: jak roztropność, wytrwałość, a przedewszystkiem oszczędność, bylibyście pierwszym narodem na świecie. Żal mi was panie Miliński, bardzo mi was żal, ale jeżeli zechcecie żyć jak dotychczas, musicie zginąć.

— Jak się z tego okazuje, nie miłe są dla nas widoki — odparł ironicznie pan Miliński.

— I nawet bardzo niemiłe — baron dalej mówił, na ziemi siadając. — Kto w dzisiejszych czasach nie jest roztropnym, tego każdy oszuka; kto nie umie wytrwać, tego wypadki strącają z widowni działania; a kto nie umie oszczędzać, ten najczęściej sam się zjada. Czemu w Europie żydzi a w Ameryce Chińczycy są silni i dla ras innych tak niebezpieczni? Bo tak jedni jak drudzy, posiadają cnoty powyższe, a przedewszystkiem mało jedzą. Kto więcej od nich potrzebuje, ten sam się zjada, a potem oni go już tylko trawią... Przyznaj mi się pan otwarcie — dodał zwracając się do swego towarzysza, który przy nim na ziemi usiadł — jak właściwie stoją twoje interesa?

Zapytany czoło zmarszczył i okiem chmurnem spojrzał na mówiącego. Baron nie otrzymawszy odpowiedzi, dalej mówił:

— Jeżeli słowa moje przykrość panu sprawiły, to cię za nie przepraszam... W każdym atoli razie mogę pana upewnić, że podyktowała mi je nie marna ciekawość, lecz prawdziwa życzliwość dla twojej osoby. Chociaż jestem niemcem z pochodzenia, oceniam ludzi jedynie według ich wartości moralnej, a że prócz tego, tu, gdzie prawie cała inteligencja jest protestancka, znalazło się nas ledwie kilku dobrych katolików, przeto nie dziw, że jest to jedna rzecz więcej, która mnie do pana pociąga. Ze szczerej zatem życzliwości, stałem się nie-

dyskretnym, ale jeżeli ma to panu przykrość sprawiać, to cofam com powiedział

Podczas gdy tak mówił, twarz jego pomięta i bez zarostu, jak starej kobiety, która na codzień nie miała w sobie nic pociągającego, zrobiła się teraz taka szlachetna i tyle w niej było poczciwego wyrazu, że pan Miliński widząc tę zmianę, szybko czoło wypogodził i towarzysza swego za rękę ująwszy, tak przemówił:

— Wiem, panie baronie, że słowa twoje z serca ci płyną, ale jeżeli mimo to nie spieszę się z wynurzaniem moich kłopotów, to jedynie dla tego, żeby ci to z pewnością nie sprawiło przyjemności. Życie moje ciężkie, zgryzoty wielkie, interesa niestety najgrosze!..

— Aż tak? To mnie martwi, panie Miliński, bardzo mnie martwi.. Lecz skoro zaszliśmy aż tak daleko, to dójdźmy już chyba do końca. Powiedz mi pan więc otwarcie, jakie jest twoje położenie?

Pan Miliński zachęcony tonem przyjacielskim, zaczął treściwie opowiadać, w jakich znajduje się teraz stosunkach Baron słuchał uważnie, mając oczy w ziemię utkwione i tylko tu i owdzie zadawał krótkie pytania, gdy chciał o czemś dokładnie się dowiedzieć. Nareszcie gdy pan Miliński przestał, odezwał się w te słowa:

— Chcesz pan otrzymać odemnie radę zdrową i niezawodną?

— Bardzo o nią proszę.

— Ale spodziewam się, że się pan nie obrazisz?

— Możesz być spokojny, panie baronie. Kto umiał wszystko powiedzieć, potrafi też także wszystko usłyszeć.

— Skoro tak, więc powiem panu otwarcie. Na chorobę twoją jest tylko jedno lekarstwo — oszczędność!

— Albo ja się nie oszczędzam, baronie? Nigdzie nie bywam, w domu siedzę, gospodarstwa sam doglądam, nałogów żadnych nie mam..

— Prawda, lecz to jeszcze nie wystarcza. Co u drugiego, naprzykład u takiego właściciela Ujścia, byłoby rzeczywiście oszczędnością, ten bowiem ma majątek trochę większy niż Trzciniec, to już u pana jest rozrzutnością. Nie trzymaj pan kucharza

— A przecie musi ktoś gotować

— To niech żona gotuje!

Pan Miliński gorzko się uśmiechnął. Baron dostrzegłszy to, z żywością zawołał:

— Nie zechce, to ją do tego zmusić! Moja bratowa ma trochę większą fortunę, a mimo to jedną połowę dnia spędza w kuchni, drugą w ogrodach, kurnikach i stajniach, nawet w chlewach. Dziś, mój panie, kobieta powinna także pracować. Zresztą tej, która pracuje, nie są w głowie stroje i zbytki, więc tym sposobem podwójnie się oszczędza. Kucharza pan zatem nie potrzebujesz, tak samo osobnego furszpana i koni cugowych. Gdy wyjeżdżasz, bierz zwykłą fornalkę. Klucznicę niech zastąpi pańska teściowa, jeżeli nie ma majątku, bo o tem nie wiem, a jeżeli ma majątek, co jest prawdopodobniejsze, gdyż imponująco wygląda i głośno krzyczy, to niech za swoje utrzymanie tyle panu płaci, byś mógł jaką dziurę zatkać. Dziećmi niech się zajmie ciotka, lokaja odprawcie, sług w ogóle trzymajcie najwięcej dwie, wyrób masła i serów obejmcie na siebie, bo przecie szwajcar, który u was krowy trzyma, dosyć zarabia, nareszcie żyjcie jak najskromniej, a ręczę, że w ten sposób w budżecie swoim rocznym zaoszczędzisz pan najmniej tysiąc talarów. I nie koniec na tem, panie Miliński. Oszczędność zmniejszy wydatki, praca zaś wasza wspólna, o drugie tyle powiększy dochody, a ponieważ z tego coś mi pan powiedział, jasno wypływa, że od dłuższego już czasu roczny twój niedobór wynosi mniej więcej tysiąc talarów, przeto jestem pewny, że przez oszczędność, którą polecam, nie tylko całkiem go pan usuniesz, ale jeszcze coś odłożysz na czarną godzinę. Innego ratunku nie widzę. Znasz pan nasze przysłowie, które powiada: długa choroba, pewna śmierć? Teraźniejsza pańska egzystencja, to powolne konanie.

— I jam niestety tego samego zdania — pan Miliński sam przerwał — ale chociaż nie przeczę, że środek przez barona proponowany jest bardzo dobry, mimo to nie mogę go wziąć w rachubę.

— Czemu?

— Bo moje panie, z wyjątkiem jednej siostry żony, na to by nie pozwoliły.

— Nie pozwoliłyby? A od czegoż pan jesteś głową domu, mężczyzną?

— Od czego? — z gorzkim uśmiechem powtórzył. — Aby za wszystkich pracować, myśleć o wszystkich i gryźć się za wszystkich! Wychowanie naszych kobiet, jak dotąd jest tego rodzaju, że choćbyśmy nawet chcieli, nie potrafimy urządzić się inaczej.

— Śmiej się pan z tego! — baron odrzucił. — Wiem ja nie od dziś, że przez wygórowaną delikatność, która z waszej rycerskiej natury wypływa, nie wy lecz panie wasze, są rzeczywistemi głowami domu, wszelako zdaje mi się, że gdzie ratunek tego wymaga, tam każda uczciwa kobieta powinna odstąpić od swych nawyknień i zastosować się do konieczności. A zresztą, czegoż każda matka kochająca dla dzieci nie uczyni? Czyż nie lepiej będzie, jeźli rękawy zawinąwszy, weźmie się sama do pracy, niż jeśliby kiedyś miała własnemi oczami oglądać, jak jej córki pójdą chleba żebrać do krewnych, lub szukać go będą w służbie upakarzającej? Spróbój pan tylko, a przekonasz się, że osiągniesz co zechcesz. Jeśli nie zrobisz jak radzę, zginiesz pan, jak zginą wszyscy polacy, którzy tu z niemcami muszą walczyć. Mimo że was przygniatamy wielkością materjalnych zasobów i cho-

ciaż rząd jest po stronie naszej, co także wiele znaczy, wy byście w walce z gemanizmem z pewnością nie ulegli, bo umiecie już tak samo jak niemcy pracować, gdybyście byli więcej opatrzni i żyli oszczędniej. Bez tego nie ma dla was ratunku. Szlachta polska musi z tąd ustąpić, bo nie jest praktyczna, a gdy do tego przyjdzie, jaką cyfrę wartościową będzie potem przedstawiala w waszym budżecie narodowym, sama warstwa włościańska, która tu jeszcze zostanie? Czyż i ona, oparcia pozbawiona, także się po was nie rozpłynie?

(Ciąg d lszy nastąpi).

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA
WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Wpakowała mu do torebki kilka tysięcy franków nie bez żalu gorzkiego, że robi z nich tak zły użytek i nie bez srogich wyrzutów swojemu niedojadkowi, że ją rujnuje.

— Ba! — strzepnął palcami — nie taka mama znowu biedna, za jaką byś chciala uchodzić

Skrzywiła się niemiłosiernie. Widocznie ten umysł przyćmiony, dziwnie się chwilami rozjaśniał.

— Oho! mamy bo i my oczy! — wydął usta z pychą indora, gdy ogon rozkłada

To mówiąc zaczął macać i szukać po wszystkich kieszeniach, rękawiczek duńskich, które miał już na rękach.

— Gratuluję tego wzroku sokolego! — matka ze śmiechem zawołała.

Już wychodził, gdy raz jeszcze od progu zawrócił:

— Ale, ale!... niech też mama nie pozwala, żeby Lara palił fajkę z moich cybuchów, żeby wynaszał moje krawatki ponsowe i żeby mi nie śmiał się tknąć mojej dubeltówki! Temu łotrzykowi zdaje się, że mu już wszystko wolno... Kiedy też mama odeszle go z powrotem do rynsztoku, z któregoś wydobyła go nie wiedzieć po co?

— Może i to kiedyś nastąpi — rzekła wymijająco

Gdy wreszcie odjechał, upadła na kanapkę:

— Uf! — odetchnęła całą piersią — pozbyłam się idjoty, bodaj na dwa miesiące! Teraz kolej na nas dwoje, panie Mongiron!

Wsiadając do wagonu, Gaston miał jeszcze minę iście pogrzebową. Przejeżdżając po pod zamek w Combard, zdało mu się, iż spostrzega światło lampy w oknach pokoju Jetty. Wyobraził ją sobie, układającą się do snu i tysiące obrazów zmysły rozpalających i tak słaby umysł do reszty mu zawróciło. Mimo żalu srogiego, który żywił do niej w sercu, rzucił od ust całus w powietrze. Prawdopodobniej nie mógł tenże znaleźć drogi aż do niej. Trochę dalej, błysnęła przed nim latarnia w oberży pod „Siwym koniem". i pogrążył się w smutnej zadumie, myśląc o pulce, którą w tej chwili brykarze, jego od serca przyjaciele, rozgrywają najniezawodniej. Wkrótce jednak czoło mu się wyjaśniło. Miał nie tylko bujną wyobraźnię, ale i pewną metodę w wizjach, któremi się zabawiał. Przeszedł w myśli szereg cały rozkoszy różnorodnych, których może użyć człowiek znający się na tem szczególniej, jeśli czuje w kieszeni kilka tysięcy. W głębi torebki słyszał nieledwie miłe bełkotanie zawsze pełnej buteleczki i spostrzegł pomiędzy skórą tejże a podszewką ładne buziaki kelnerek i kawiareczek, stojących na progu i zerkających na niego zalotnie, z pod powiek na pół przymkniętych. Te poczciwe dziewczęta, były zawsze gotowe pocieszyć go i dać mu zapomnieć o miłosnych jego zawodach i niepowodzeniach.

W tej samej chwili Jetta oparta łokciem o stół mówiła w duchu:

— Jeżeli margrabina szczerze tak myśli jak mówi, to pan Cantarel na wszystko tak powie.. Czy jej można wierzyć, to inne pytanie!

Punkt ten wydawał się jej nader podejrzanym. Nie mogła pojąć tych głębokich kombinacyj politycznych. Nic zresztą nie wiedziała o całym Mongiron'ie. Wzięła wreszcie pióro i tak odpisala:

— „Panie! Nie sprzeciwiam się wizycie, którą pan Valport chce złożyć w Combard, mało mam jednak nadziei, żeby wynik tejże wypadł po jego myśli. Wiadomo Panu jakie są zamiary pana Cantarel, co do mojej osoby, i wątpię, żeby chciał wysłuchać Pańskich rad i życzeń. Pójdę za Pańskim przykładem, i tak jak Pan, aby wszystko pogodzić zostanę w tej sprawie zupełnie neutralną, nie mogąc wstrzymać się od pewnej życzliwości"!

Odczytała bacznie odpowiedź i znalazła ją stosowną Była ona zimna, niemal odtrącająca. Czyż można było od niej więcej żądać? Zdało się jej. iż jest w zgodzie z własnem sumieniem, że postawiła mur nieprzebyty, mur ostateczny. między sobą a szczęściem. Straciła je niemal z oczu A jednak widzia a to szczęście, uśmiechało się ono do jej duszy. Mur wysoki był widocznie przeźroczystym

XVIII.

W trzy dni później, panna Maulabret wchodziła właśnie do swego pokoju, po przejażdżce w sąsiedztwo z panią Cantarel, gdy chiński *Tam Tam* zabrzmiał po całym dziedzińcu swoim strasznym głosem, jakby wołał na nią z całej siły: — „To on! przyjechał!" — Podbiegła do okna. W głównym dziedzińcu spostrzegła powozik elegancki. Dzielna para rumaków zapienionych, gryzła niecierpliwie wędzidło; ujrzała również wyskakującego z powozu pięknego chłopca, ubranego z wyszukaną elegancją. Przyjeżdżał prosto z Boisle Roi gdzie ponowie obrał był siedlisko. Gwałtownym ruchem w tył się cofnęła i wcisnęła się skręcona w kłębuszek w róg otomanki. Tam przesiedziała nieruchoma z pół godziny, z oczami zamkniętemi, z brodą na kolanach, dziwiąc się. że zegar odzywa się dalej swojem „tik tak" monotonnem. jakby ten dzień był podobny do innych dni powszednich i jak gdyby w takich kryzysach, czas liczył się po dawnemu na sekundy i minuty. Dla niej czas stanął. Czyż nie wiedziała, że wypadkiem niesłychanym. jej opiekun wstrzymał się od jazdy do Paryża, i że piękny kawaler będzie miał z kim się rozmówić? Przeznaczenie wrzuciło do kubka swoje kości spiżowe; partja, którą gra z umarłym od kilku miesięcy, dobiegała do ostatecznego rozwiązania. Wynik nie zależał już od jej woli, z której abdykowała, tylko od zbiegu okoliczności nieznanych jej.

Nie starała się wcale badać przed czasem ich tajemnicy i czekała na wiadomość z takiem biciem serca, iż bała się, żeby go nie słyszano w całym zamku.

Albert krokiem lekkim przebiegł schody i wszedł do przedpokoju. Tu go przyjął lokaj wysoki jak grenadjer, łączący powagę wyborcy, z butą sługi dorobkiewicza. Nicpoń znał się na ludziach; domyślił się na pierwszy rzut oka, że gość nie zszedł ze szczytów Awentynu a raczej ze szczytu Ménilmontant'u, i że nie wygląda na jednego z głównych wyborców. Obszedł się też z nim dość lekceważąco. Zapowiedziawszy, iż jego dostojny chlebodawca przechadza się po parku i żądając biletu wizytowego, zostawił go po prostu w przedpokoju, drżącego z gniewu i niecierpliwości. Pojawił się z powrotem za kilka minut i wprowadził tym razem do saloniku prześlicznie urządzonego, a odchodząc nie zapomniał złożyć mu na kolanach numeru ostatniego „Prawdziwej Republiki", dziennika porannego. założonego i kierowanego przez pana Cantarel. Albert widocznie nie był usposobiony do czytania. Rzucił na stół dziennik i z kapeluszem w ręce zaczął przemierzać salon wszerz i wzdłuż wielkimi krokami.

Był blady śmiertelnie, na wzór gracza, który chce gwałtem rozbić bank, miał również minę rozpaczliwą kapitana fregaty, który gotów raczej podpalić prochy, niż poddać się nieprzyjacielowi. Chwilami gryzł usta aż do krwi, jakby potrzebował bolu fizycznego, aby ukoić trawiący go niepokój Pomimo troski i zadumy, spojrzał zdziwiony okiem znawcy, na bogate umeblowanie gabinetu w stylu Pompadour. Nie spodziewał się zastać coś podobnego, u przyszłego paryskiego radcy municypalnego. Przy bliższem atoli rozpatrzeniu się w gracikach nagromadzonych, znalazł i prawdziwą tandetę, pomiędzy drobiazgami dość cennemi. Uśmiechnął się mimowolnie. Szybko jednak przybrał dawną powagę Usłyszał na wschodach krok ciężki i odgłos kaszlu suchego, który jest specjalnością mężów stanu, zatrudnionych wyłącznie sprawami państwowemi.

Za chwilę pan Cantarel wszedł pompatycznie. Na nogach miał buty wysokie, ubrany zaś był w bawełnicę, w prostą, szarą bawełnicę; ten Ludwik XIV. lubił czasem świat zadziwiać swoją sielską skromnością. Na głowie miał czapkę czerwoną, niemal frygijską, w ręku trzymał laskę Robespierre'a, a w dziurce od marynarki tkwił biały narcyz, który zerwał we własnym parku. Istny obywatel z roku 1793, rolnik i ogrodnik w dodaktu. Właściwie wyraz jego twarzy, nie zwiastował nic pomyślnego Miał minę arogancką i wyzywającą, zachowanie szorstkie gbura, który czuje, iż trzyma w garści człowieka honoru, wytwornie wychowanego i że ten musi tak tańczyć, jak on mu raczy zagrać.

Chociaż pan Valport był pochodzenia czysto mieszczańskiego, odziedziczył na nieszczęście majątek gotowiu sieńki; to wystarczało, aby fundator i kierownik „Prawdziwej republiki" uważał go za czystej krwi arystokratę. Trzeba przyznać, że ptaszek zupełnie na to wyglądał. Koniec końców, pan Cantarel czuł dla tego chłopca dystyngowanego niemal litość pogardliwą, co twarz jego niedwuznacznie wyrażała. Według jego zdania, w społeczeństwie dobrze zorganizowanem, dobra ziemskie i wszelkie zaszczyty, powinny spadać na dorobkiewiczów, zdobywających majątek o własnych siłach. na ludzi, od których ród się dopiero zaczyna, dodając do tego kilka margrabin, któreby tym zasłużonym obywatelom republika rozdawała w nagrodę ich wielkich czynów, ku ich rozrywce aby im życie upiększyć i uprzyjemnić, nic bowiem tak salonu nie ubiera, jak prawdziwa margrabina.

Albert ukłonił mu się z grzecznością wyszukaną i przemówił głosem niemal pieszczonym:

— Sądzę panie, iż wiesz co mnie spowodowało, mieć zaszczyt przedstawienia się panu, w jego zamku.

— Domyślam się przyczyny — pan Cantarel szorstko odrzucił.—Przed chwilą odebrałem od pana Vaugenis, który zdaje się być panu szczerze życzliwym, list na czterech bitych stronicach i żałuję, iż pańska niecierpliwość nie zostawiła mi dość czasu, abym mógł był na list odpisać. Zresztą nic się tak złego nie stało. Co mam panu wyłuszczyć, mogę tak samo ustnie powiedzieć.

Po tych słowach usiadł i raczył niemym ruchem wskazać fotel gościowi naprzeciw siebie Chwilę milczał, z nogami wyciągniętemi, uderzając raz po raz po wysokich cholewach, laską nieśmiertelnego Maksymiljana. Ten wstęp nie podobał się wcale panu Valport. Zapowiedziano mu przecież z góry, iż wdaje się w grę nader hazardowną i przysiągł najsolenniej unosić się więcej niż anielską cierpliwością. W myśli miał cały plan ułożony; nie chciał używać od razu środków heroicznych, uciekać się do pogróżek i do imponowania, wypowiadać wojnę jednem słowem.

— Pan Vaugenis — przemówił łagodnie — musiał zapewne uprzedzić pana, o uczuciach, któremi natchnęła mnie panna Maulabret, i o mojem uszczęśliwieniu, gdybym mógł się spodziewać...

— Czy się pan tylko nie łudzisz, co do tego uszczęśliwienia, gdybyś został naprawdę panem i małżonkiem tej ślicznej osóbki? — przerwał mu pan Cantarel. — Zapewne.. dziś zdaje się panu, że ją kochasz szalenie. Ale czyś tego pewny?.. Znasz ją pan tak mało.

— Człowiek, który ma trochę doświadczenia co do kobiet — Albert odpowiedział — nie potrzebuje widywać często panny Maulabret, aby nabyć przekonania, iż nie jest podobną do nikogo w świecie!

— No, tak.. mój Boże! milutka ładniutka, być może nawet, iż pan ją naprawdę ubóstwiasz. Ale na tem nie koniec... Jestem panie jej opiekunem!

Uderzył się w piersi i wydął tłuste i tak policzki.

— Jestem panie, człowiekiem na serjo, człowiekiem obowiązków. Gdy biorę ciężar jaki na ramiona, pojmuję całą odpowiedzialność Nie wzdragam się i nie cofam przed niczem, choćby mi przyszło walczyć z najwyższemi trudnościami

Dołączył do tego zapewnienia giest energiczny, majestatyczny, *a la Danton.*

— Gdym raz przyjął opiekę nad tą biedną sierotką — mówił dalej prawie ze łzami w oczach — przysiągłem zapewnić jej szczęście, i to szczęście jest jedną z głównych trosk życia mojego. Byłbym niepocieszony, gdyby miała zostać nieszczęśliwą. Nie poślubi też za mojem pozwoleniem tylko człowieka pojmującego bardzo na serjo obowiązki męża i świętość węzłów małżeńskich. Małżeństwo bowiem jest piękną instytucją... *natabene*, mówię li o ślubach cywilnych. Co się tyczy tamtych drugich...

— Zdaje mi się, iż odbiegamy cokolwiek od kwestji nas obchodzącej — Albert przerwał mu z kolei.

P. Cantarel groźnie brwi zmarszczył; nie znosił, żeby kto śmiał kłaść tamę potokowi słów jego.

— Nie zaprzeczam — rzekł sucho i oprysklíwie — iż pan jesteś partją dość pokaźną. Nie wspominam o pańskiem nazwisku, bo urodzenie dla mnie nie przedstawia żadnej wartości; utrzymuję jednak, iż jesteś bardzo inteligentny, masz postać nader przyjemną, a mimo, żeś porządnie nadszarpał majątek, którego nie zada-

wałeś sobie trudu zgromadzić i zapracować, ogryzki z niego wystarczą jeszcze, aby żyć w świecie dostatnio... Na nieszczęście panie, ja uważam przedewszytkiem na przymioty wewnętrzne, na to, co stanowi podstawę w życiu, na rozum i na serce, a na tym punkcie wszyscy się zgadzają, że pańska przeszłość...

— Była najopłakańszą — dokończył Albert ze słodyczą zachwycającą. — Na miły Bóg! nie zakłócajmy spokoju wiecznego umarłym!

— Pan Vaugenis donosi mi rzeczywiście, że pan silisz się zmienić tryb życia i przyoblec nową skórę. czego panu szczerze winszuję... Francji potrzeba ludzi serjo, którzy by się poświęcili z duszą i z ciałem jej interesom, którzy by pogardzali marnościami tego świata, którzyby mieli stałe i niewzruszone zasady... Czy masz pan w ogóle zasady? Czy wolno zapytać, jaką pan wyznajesz wiarę polityczną?

— Wiarę polityczną?

— Naturalnie! Wiara polityczna, to grunt!

— Ależ naprawdę, nie mogę pojąć, na co tu potrzebna moja opinja i wyznanie polityczne, i w jakim one mają być związku, z przyszłem szczęściem domowem panny Maulabret?

— Aaaa! pan tego nie pojmujesz?!... Ja zaś panie oceniam człowieka, według jego opinji i wiary politycznej!

— Ja bym sądził przeciwnie — Albert uśmiechnął się nieznacznie — że o ile wart człowiek, o tyle mają wartości i jego zasady.

— To by mi podsuwało myśl, iż pan właściwie nie masz co do polityki żadnej opinji... Czyś pan jednak szczerym republikanem?

— Z zasady uważam tę formę rządu za jedynie możliwą.

— Wyznaj pan odrazu, żeś oportunistą. Domyślałem się tego.

— Byłbym szczęśliwym panie, gdyby można o mnie powiedzieć, szczególniej w tej chwili, że działam zawsze w porę stosowną.

— Czy jesteś pan koniec końców za szkołami i szpitalami wspólnemi? Gdybyś był u steru rządu, czy zniósłbyś wszelkie klasztory?

— No, zdaje mi się, iż krok, który czynię, zanosząc moją prośbę do pana, nie musi się im bardzo podobać.

— Ba! Jesteś pan kłusownikiem na ich terytorjum, to prawda, ale chcesz im zabrać smaczną zwierzynkę z amatorstwa, dla własnej przyjemności, nie zaś z przekonania. Pan nie jesteś silnie przekonany, a bierzesz się do fuszerady w polityce. Biedna Francjo!

— Chwilowo pragnę jedynie—Albert odrzucił głosem miękkim jak aksamit — otrzymać z łaski pana rękę jego pupilki, panny Maulabret.

— Aha, znowu pan wracasz do dawnej piosenki? Chcesz zatem poślubić moją pupilkę; to jest pańskiem namiętnem życzeniem, pańskim kaprysem, pańskiem marzeniem?... Czy pan wiesz, że odemnie li zależy, zrobić z niej najprawdziwszą margrabinę?

— Sądzę, że w oczach pana jeszcze mniejszą wartość mają tytuły niż nazwiska. Nie wątpię, iż potrafiłbyś pan zdobyć dla panny Maulabret partję o wiele świetniejszą i odpowiedniejszą Za mną przemawiają dwa argumenta: pierwszy, że ją kocham do szaleństwa, drugi: że pan Antoni Cantarel, brat pański, pragnął tego małżeństwa, że mnie wybrał i że, gdyby żył, polecił by mnie sam panu najgoręciej.

P. Cantarel parsknął śmiechem; stawał się coraz bardziej aroganckim, w miarę jak Albert robił się maleńkim i giętkim jak trzcina.

— Pan w ęc występujesz jako kandydat oficjalny! Ach! panie! wziąłeś się do rzeczy najniezgrabniej. Kandydat oficjalny! Czyżbyś łudził się płonną nadzieją, iż pozyskasz moją życzliwość, przypominając mi czasy niewoli i hańby, w których władza despotyczna narzucała swój wybór głosowaniu powszechnemu, depcąc bezkarnie po biednej Francji?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

W rzeczy samej za chwilę dano znać do stołu. Lucja wróciła z dwiema kuzynkami, z któremi wielce się już zaprzyjaźniła. Ale brat najukochańszy odjeżdżał. Rozdział na zawsze! Przymus, który sobie zadać musieli, osmucał jeszcze więcej te chwile ostatnie razem spędzane. Jakąż boleść wyrażał wzrok Lucji! Edward był również dziwnie żałośnie nastrojony. Gdyby nie humor zawsze wesół u Tankreda, obiad byłby przeszedł w ponurem milczeniu. Nawet i uprzejmy gospodarz nie był jak zwykle rozmownym. Miał troskę, która go w wysokim stopniu niepokoiła.

Dnia tego właśnie dwa miejsca w kółku rodzinnem stały próżne.

— Moi dwaj najstarsi synowie — rzekł biskup — są od dwóch dni nad brzegiem morza, gdzie musiałem im nawet szałas zbudować. Lubią namiętnie rybołostwo. Obiecali mi jednak solennie, iż będą dziś rano z powrotem. Chciałbym z duszy i tych moich zuchów panom przedstawić! Pierwszy raz w życiu słowa nie dotrzymali. Coś bardzo ważnego zatrzymać ich musiało.—Przy deserze dodał: — Gdybyście tak panowie chcieli się cokolwiek dłużej zatrzymać i dali znać kapitanowi, żeby dzień lub dwa na was poczekał... Wysłałbym z listem konnego i przy tej samej sposobności dowiedziałbym się co się dzieje z moimi..

Przerwał mu tentent konia w pełnym biegu, który wpadł na podwórze pałacowe. Okna ze sali jadalnej właśnie na to podwórze wychodziły. Jeździec osadził już był konia przed gankiem, i lekko z konia zeskoczywszy, dążył szybko do pałacu. Był to wyrostek lat piętnastu, ubrany w strój malowniczy rybaka włoskiego.

— Oto właśnie jeden z naszych dezerterów! — ojciec zerwał się żywo od stołu. — Mój syn Nataniel! Ale dla czegoż sam jeden przybywa, bez brata? a jak się zdaje okropnie zmięszany?

W istocie twarz chłopaka była dziwnie zmienioną. Bez tchu prawie omdlewający, upadł na krzesło najbliższe, znalazłszy się natychmiast w czułem objęciu siostry Zuzi, „siostry dużej" jak ją młodsze dzieci z uszanowaniem nazywały, bo istotnie sierotom miejsce matki zastępywała.

Uspokajała go jak mogła, wypytując się troskliwie,

dotąd jednak nie mogła otrzymać wyraźnej odpowiedzi. Reszta rodzeństwa skupiła się koło nowo przybyłego.

Bełkotał coś bez związku i zupełnie niezrozumiałego.

— Natty! Co tobie się stało Natty? — powtarzali jedni za drugimi, bracia i siostry, z najwyższym niepokojem.

Wreszcie z biedą wykrztusił te słowa urywane:

— Żołnierze!.. Armaty! Cała armja!.. Wylądowują. Idą!...

— Któż taki?...

— Francuzi.

XXXVI.

Każdy pod swoją chorągiew.

Przez chwilę wszyscy oniemieli.

Ta wiadomość nadzwyczajna strzeliła pomiędzy biesiadników, niby piorun z jasnego nieba. Rodzina biskupa ojca obstąpiła. Łucja mimowolnie przysunęła się bliżej Tankreda. Wzrok Reginalda gniewem zapałał; a w oczach Edwarda błysnął promyk nadziei. Nikt jednak temu nie mógł uwierzyć; mimo uroczystych zapewnień Nataniela, wszyscy o prawdziwości słów jego wątpić się zdawali

Nataniel badany szczegółowo, odzyskał wreszcie krew zimną i tak opowiadał:

— Wczoraj po południu mój brat Artur i ja. wypłynęliśmy w naszym jachcie na pełne morze. Na widnokręgu ukazały się maszty i żagle, które wiatr pomyślny i przypływ morski ku nam szybko pędził. Wyglądało to z daleka na małą eskadrę. Aby prędzej się temu z bliska przypatrzeć, lawirowaliśmy za pomocą wioseł tędy i owędy, opierając się przypływowi, pędzącemu nas do brzegu. Pierwszy okręt wreszcie wpłynął w zatokę; później drugi i trzeci. Były to wielkie okręty wojenne! Tak rzadko który zawita w te strony! Zrozumiesz łatwo drogi ojcze, jak byliśmy tym widokiem zachwyceni i zaciekawieni.

— Pojmuję — ojciec głową skinął—mów synu dalej.

— Jakże moglibyśmy się byli obawiać zasadzki, skoro na masztach powiewały flagi angielskie! — chłopak ręce kurczowo załamywał. — Połów udał nam się przewybornie. Może nasi ziomkowie wracają z dalekiej pełnej trudów wyprawy?... Artur poddał myśl, aby im zaofiarować trochę ryb świeżo ułowionych. Zgodziłem się na to całem sercem i nasz jacht pomknął ku nim szybko jak mewa.

Byliśmy już od nich zaledwie o kilkaset sążni oddaleni, gdy jednocześnie wyrwał nam się okrzyk trwogi i zdziwienia. Na pomoście, na parapecie przy armatach, wszędzie pełno mundurów cudzoziemskich!

— Zmienić kierunek statku! — Artur zakomenderował — i uciekać ku brzegom!

— Już było na to zapóźno! Zwróciły się ku nam lufy karabinów. Zagrzmiał rozkaz: Poddać się! — Oh! chcieliśmy jeszcze opór stawić! Twoi synowie ojcze ulegli dopiero gdy armaty się odezwały!

— Strzelać do dzieci! — szepnął ojciec.

— Eh! - Tankred machnął ręką uśmiechnięty — widocznie prochem strzelali, aby tylko dzieciakom zaimponować i strachu napędzić.

— Zmuszeni, podpływamy do okrętu i wchodzimy na pomost Tak jest rzeczywiście, to Francuzi! Prowadzą nas i stawiają przed dowódcę, olbrzyma od głowy aż do stóp od złota kapiącego! Złoto było na wszystkich szwach, a na kapeluszu jeneralskim pęk piór rozmaitych!

Na ten portret naiwnie skreślony, Tankred nie mógł się pohamować i śmiechem wybuchnął. Domyślił się natychmiast jenerała Humberta

— Zaczęło się formalne urzędowe badanie — kończył Nataniel. — Jak daleko od brzegów morza, do miasta Killala? Ile żołnierzy liczy obecnie załoga tamże?... „Nie odpowiadaj!“ — Artur łokciem mnie trącił. I mimo gróźb podkomendnych, żaden z nas pary z ust nie puścił! Lśniący od złota jenerał nie rozgniewał się jednak. Uśmiechał się dobrodusznie, a nawet szeroką swoją dłonią pogłaskał nas po twarzach. „*Bravo*“! chłopcy! — zawołał. — Widzę, że z was zuchy, i chcecie bronić sprawy kraju własnego! Ja to bardzo lubię!! — Tymczasem inne statki i czółna ku okrętom podpływały z rybakami okolicznymi. Ale ci inaczej postępywali! Krzyczeli i wrzeszczeli: *Hurra!* nie posiadali się z radości! Pod ich przewodnictwem, okręty zawinęły w miejscu najbezpieczniejszem. Wieczorem nastąpiło wylądowanie.

— Jakto? — wykrzyknął Reginald — wczoraj wieczór?!

— I przez noc całą.... i przez cały ranek dzisiejszy! — tłumaczył Natty. — Z nas oka nie spuszczano! Brat został nawet u nich w niewoli. Mnie jakoś udało im się z rąk wyśliznąć; skoczyłem w wodę, dałem nura, przy samym brzegu dopiero znowu głowę pokazałem. Kilka kulek świsnęło mi koło ucha, ale na szczęście, tuż niedaleko pasły się czyjeś konie. Udało mi się pochwycić jednego za grzywę i w okamgnieniu pędziłem oklep do ciebie ojcze! Baczność! baczność! panie majorze!

Ostatnie wyrazy tyczyły się komendanta twierdzy w Killala, który we drzwiach się ukazał. Potwierdził on całe opowiadanie Nataniela, dodał nawet więcej jeden szczegół, mianowicie: iż awangarda nieprzyjacielska maszeruje prosto ku miastu. Syn wice króla ile się zdawać mogło, powziął już był stałe postanowienie. Dał się też poznać komendantowi.

— Majorze! — przemówił ostro i krótko — ile ludzi masz pod sobą?

— Garstka zaledwie! — major odpowiedział — coś około stu pięćdziesięciu... ale sami starzy wojacy, którzy już nieraz proch wąchali Każdy z nich spełni swoją powinność!

— Liczę na to! — Reginald dłoń mu uścisnął. — Twierdza na szczycie góry zbudowana, oszańcowana naturalnie, wieńcem skalistym; prócz murów i wałów w stanie nie osobliwszym, zamknij się w niej majorze i wytrzymaj atak, bodaj przez dzień jeden, a dobrze się Anglji zasłużysz!

A po chwili milczenia dodał: — Konia! konia mi przyszlijcie! Najlepszego bieguna jakiego macie!... Podejmuję się do jutra odsiecz sprowadzić.

Komendant oddalił się natychmiast. Straszliwy niepokój malował się na twarzach obecnych

— Niech się dzieje wola Boża! — przemówił biskup z rezygnacją, zbliżając się do Reginalda.

— Nie rozpaczajmy! — zapewnił syn wice-króla — znam wuja takt i odwagę, jestem z góry przekonany, że i w tym wypadku ona cię nie zawiedzie. Idzie tu zresztą o chwilę przelotną Pomoc musi nadejść niebawem. Rodzina i dom. tak powszechnie szanowanego jak wuj człowieka, nawet wrogom imponuje, radziłbym więc lady Cornwallis tu się schronić, zanim wyjaśni się sytuacja.

Edward mierzył Reginalda wzrokiem zimnym, niemal

wyzywającym. Teraz występywał w całej pełni antagonizm dwóch ras i odmienne wyznanie wiary politycznej, szwagrów rozdzielające.

— Co myśli uczynić margrabia Grandlieu? — spytał Anglik, dumny i sztywny.

Irlandczyk odpowiedział w tym samym tonie:

— Dając mi sir to nazwisko które odtąd mojem będzie, czyż tem samem nie zaciągnąłeś mnie pod sztandary francuzkie?

— Mógłbyś sir jeszcze.. powinienbyś odjechać — szepnął mąż Lucji wahająco.

— Moje stanowisko w obec Francuzów jest równie drażliwe, jak w obec ciebie sir — Edward z całą godnością odpowiedział. — Ja głównie ich tutaj sprowadziłem. Cóżby więc o mnie pomyśleli i jakbyś ty mnie sam osądził Reginaldzie, gdybym teraz przed nimi uciekał?

Argument był nie do pokonania. Pułkownik przygryzł usta i skłonił się w milczeniu.

— Dopóki nie przyjdą mnie uwolnić — dodał Edward — uważam się za twojego więźnia na słowo. Więcej honor odemnie nie wymaga!

— Ależ twoja matka? siostra?...

Łucja na nic już nie zważając, rzuciła się bratu na szyję:

— A twoja żona! twoje dziatki Edziu! — jęknęła żałośnie łzami zalana.

Zawahał się chwilę. Natychmiast jednak podniósł dumnie głowę, którą był ze smutkiem głębokim na piersi opuścił:

— Milordzie! — zainterpelował Reginalda — jedno pytanie, jeżeli łaska! Odpowiedź twoja będzie mi wskazówką co mam dalej czynić.

— Jakież to pytanie?...

— Bracia Sheares, czy poszli pod topór?

Na wspomnienie tych dwóch ofiar despotyzmu, Dżona i Henryka, tak młodych, tak zasługujących na litość, na ułaskawienie, syn wice-króla zbladł śmiertelnie.

— Odpowiedz sir tak, jakbyś stał przed tronem Boga! — powtórzył Edward uroczyście. — Czy ścięto braci Sheares?!

— Ścięto!..

Milczenie głuche w sali zapanowało

— Ale gdybyś wiedział Edwardzie...

— O niczem więcej wiedzieć i słyszeć nie chcę! — Fitz-Gerald potrząsł głową i ręką tak energicznie, z wyrazem takiego bolu, wstrętu i oburzenia, iż wszyscy obecni zrozumieli, że nadaremnie by go odwodzili od niezłomnego postanowienia.

Na dziedzińcu pojawił się major, a za nim prowadzono ognistego rumaka, którego przeznaczał dla Reginalda. Twarze ponure i groźne postacie mur otoczyły gromadnie, patrząc ciekawie przez kratę żelazną w bramie wjazdowej. Słychać było głuche szemranie, niby szum daleki fali nadpływającej. Lord Edward potrafił zapanować nad gniewem i żalem serce mu rozdzierającym.

— Reginaldzie! — wyciągnął do szwagra na pożegnanie dłoń przyjazną — wdzięczny ci jestem za wszystko, coś dotąd dla mnie uczynił. Składam dowód szczerej wdzięczności, nie przeszkadzając twojemu odjazdowi, który może jednak sprawie naszej bardzo zaszkodzić.

— Przeszkodzić mojemu odjazdowi? — Anglik wycedził przez zęby z pogardliwem niemal niedowierzaniem.

— Nic łatwiejszego! — potwierdził Irlandczyk — Czyż nie widzisz tłumu, który oblega mur biskupiej rezydencji? Skoro bym się ukazał i wymienił moje nazwisko.. dowódca nie wróciłby do twierdzy... tobie zaś lud zfanatyzowany zamknął by odwrót. Ale nie! Ja tego nie uczynię! Czekam... Jedź milordzie i pamiętaj, żeśmy się skwitowali!

Syn wice króla za całą odpowiedź boleśnie się tylko uśmiechnął, a wyciągając dłoń do Tankreda zapytał:

— Czy i tu znajdę nieubłaganego przeciwnika?

Gaillefontaine odpowiedział patrząc na Łucję:

— Niech mię Bóg od tego zachowa pułkowniku! Nic mi jednak nie przeszkadza dopełnić obietnicy W którą stronę uda się margrabia Grandlieu i ja tam się znajdę!

Reginald rzekł z naciskiem:

— Niechże każdy z nas działa jak mu sumienie i honor nakazuje i niech się trzyma swojego sztandaru! Gdyby jednak szansa miała znowu przeciw wam się odwrócić panowie, a pomoc moja mogłaby się na co przydać, bądź co bądź licz na mnie Edwardzie, jak na brata wiernego i przywiązanego... Żegnaj mi Łucjo!

Przycisnął ją do serca namiętnie. Chwilę patrzał w jej oczy badawczo, nareszcie puścił ja z objęć i pędem wybiegł z sali.

Rozległ się po bruku dziedzińca tentent konia w galopie. Po wzburzeniu i krzykach nieprzyjaźnych, jakie tłum zebrany wydawał, zobaczywszy wśród siebie pułkownika angielskiego, mógł się Reginald łatwo przekonać, że Fitz-Gerald bynajmniej nie przesadził. Major pospieszył znowu w inną stronę aby objąć dowództwo nad żołnierzami i zasłonić miasteczko przynajmniej przez jeden dzień.

Biskup przez delikatność oddalił się, aby gościom wszelką wolność zostawić. Miał zresztą i sam rozmaite sprawy do załatwienia; musiał przedsiębrać na wszelki wypadek pewne środki ostrożności i spiżarnią lepiej zaprowiantować. Dzieci młodsze już były z sali zniknęły, wracając po obiedzie do nauki.

Dwie siostry najstarsze zdawały się czekać na Łucję, aby ją odprowadzić do dalszych pokoi. Biskup również pragnął im towarzyszyć.

— Zostajemy, aby zasłonić dom i rodzinę twoją księże biskupie, od wszelkiej napaści — tłumaczył Tankred. I dodał zwrócony do Łucji: — Nie porzucę go, będę czuwał!

Nataniel został sam jeden z dwoma panami. Usłyszeli wkrótce dość blisko huk armat. To major witał gości nieproszonych.

— Bitwa się zaczyna! — zawołał chłopak z wzrokiem roziskrzonym — Chodźmy na wieżę, ztamtąd zobaczymy wszystko, jak na talerzu!

XXXVII.

Pierwsze wejście na scenę.

Dach płaski na wieży, otoczony wysoką żelazną balustradą, służył za najdoskonalsze obserwatorjum, z którego widziało się całą okolicę na mil kilka w około.

Hrabia wraz z towarzyszami wzrok ku zatoce wytężył. Na wałach małej forteczki, zakryta skał odłamami, stała załoga nieliczna. Piechota już nabijała powtórnie karabiny, artylerzyści stali nieruchomi z lontami zapalonymi, czekając na komendę. Dym z salwy karabinowej rozpływał się w powietrzu Na drodze o kilkaset metrów dalej leżały czyjeś zwłoki. Tankred skierował w ten sam punkt

teleskop i wpatrzył się bacznie w leżącego ·W tej pierwszej ofierze walki, poznał oficera francuzkiego

— *Arrah*! — Pat zawołał — było ich tylko dwudziestu i pewnie liczyli na lepsze przyjęcie. Założyłbym się niewiem o co, iż powrócą niebawem w większej liczbie.

Co do żołnierzy w twierdzy, byli to w rzeczy samej weterani w boju posiwiali, sztywni, wyprostowani i jak skała niewzruszeni.

Nastąpiła dłuższa pauza. Nigdzie listek się nie poruszył. Słońce słało ziemi ogniste pocałunki. Zdawało się, jakby natura sama słuchała, patrzyła i na coś z ciekawością oczekiwała. Naraz zajaśniały w oddaleniu mundury francuskiej republiki. Dwa oddziały grenadjerów, zajmując całą drogi szerokość, szły jak do szturmu krokiem przyśpieszonym. Na widok pantalonów z lampasami, munduru z białym plastronem, czarnej wysokiej bermicy, a szczególnie widząc postawę marsową tych, którzy szli z miną junacką jakby do tańca, serce hrabiego, mimo iż był do szpiku i kości rojalistą, o mało z radości z piersi nie wyskoczyło Można bowiem opuścić, a nawet złorzeczyć ziemi rodzinnej, im więcej się jednak od niej oddalamy, im bardziej nam się zdaje, żeśmy ją w pamięci na wieki pogrzebali, tem żywiej nam się przypomina, a najmniejsza drobnostka budzi żal ciężki i tęsknotę niewypowiedzianą w sercu wygnańca.

— Ach! — szeptał Tankred głosem przez łzy stłumionym. — Ach! to prawdziwe zuchy! dzieci wspólnej nam matki. . Niech żyje Francja!

Na skrzydłach kolumny atakującej, trzeci oddział rozsypał się w tyralierkę. Edward sam był żołnierzem. Zachwycała go więc również mina gęsta, postawa wyzywająca i ruchów swoboda w tej garstce zuchów francuzkich.

Zbliżywszy się na strzał, wytrzymali okiem nie mrugnąwszy salwę karabinową z twierdzy. Odpowiedzieli też nawzajem ogniem rotowym

— Naprzód! — zakomenderowali oficerowie. — Na bagnety!

Uderzono w bębny. Grenadierzy puścili się kłusem. W pięć minut byli u szczytu, skacząc po skałach i spotkali się z Anglikami oko w oko, ramię do ramienia. Chwilę przelotną trwała walka; zaledwie kilku umknąć zdołało. Kogo oszczędziła kula lub żelazo, został wzięty w niewolę, a pomiędzy innymi i sam twierdzy dowódca. Zwycięzcy zajęli natychmiast najbliższe przedmieście, intonując pieśń tryumfu.

— Miasto zdobyte! — Tankred ręce zatarł radośnie, — Możemy opuścić nasze obserwatorjum.

U stóp wieży spotkali się z biskupem. Wiedział już jak się walka skończyła. Zamiast trwogi jednak i zrozpaczenia, czytało się w jego twarzy łagodnej i dobrodusznie uśmiechniętej, tak jak zawsze spokój i szczere poddanie się woli Bożej. Był on nie tylko dobrym chrześćjaninem ale w dodatku prawdziwym filozofem.

— Wasza przewielebność — rzekł Fitz-Gerald — jesteś Szkotem z rodu; Irlandję zatem powinienbyś uważać jako drugą ojczyznę Francja przysyła nam sprzymierzeńców, zbawców wspaniałomyślnych!

— Nie śmiałbym stanowczo w tej kwestji wyrokować — odparł biskup z całą prostotą i skromnością. — Wszak stoi napisano w *Genezis:* „Przyczyniajcie się do zbawienia państwa, gdziem was osadził; błagajcie Przedwiecznego o tegoż państwa pomyślność, bo od tego i wasze szczęście zależy“.

Wrzawa tymczasem zbliżała się coraz bardziej. Otoczeni tłumem rozentuzjazmowanym, rozszalałym z wielkiej radości, ukazali się francuzcy grenadjerzy po tamtej stronie muru.

Brama była zamknięta. Kilku chłopaków irladzkich wdrapało się na mur ze zwinnością wiewiórek i bramę na oścież roztworzyło. Zaledwie to nastąpiło, wjechali na dziedziniec jeźdźcy na pysznych rumakach. Byli to sami sztabowi oficerowie. Na ich czele jenerał główno-dowodzący.

Tankred zgadł doskonale Był to Humbert. Ten poznał natychmiast hrabiego, który wyszedł naprzeciw.

Widzieli się wprawdzie w życiu tylko dwa razy, w takich jednak ważnych chwilach, iż na wieki utkwiły im w sercu i pamięci.

— Tutaj cię spotykam panie hrabio! — wykrzyknął bohater republikański —Do stu piorunów! to mnie cieszy! uważam nawet coś podobnego za dobrą wróżbę! Podajmy sobie dłonie, jak tam nad Hoche'a świeżą mogiłą... Jak widzisz hrabio, staram się spełnić jego ostatnie życzenie.

Siedział dotąd na koniu, Tankred zaś stał na stopniach ganku Obok miał domu gospodarza.

— Pozwolisz jenerale — hrabia przemówił — przedstawić sobie jego przewielebność, czcigodnego biskupa z Killala. Ośmieliłem się zapewnić go najsolenniej, iż nie ma zupełnie potrzeby obawiać się czegokolwiek, skoro odda się pod straż honoru francuzkiego

— Miałeś słuszność hrabio! do kata! — machnął ręką Humbert — nie jesteśmy przecie ludożercami! Dla większej pewności, myślę nawet tu w pałacu założyć główną kwaterę.

Zsiadł z konia, a zamieniwszy z biskupem kilka słów uprzejmych, wszedł do sieni w towarzystwie Tankreda. Hrabia szepnął na ucho jenerałowi, że w pałacu są również młode damy.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się dobrodusznie — rozumiem! Postaramy się nie spłoszyć niczem delikatnych turkaweczek! Komenda! odległość na dziesięć kroków przynajmniej! Wszelkie względy dla płci pięknej i najwyższe uszanowanie! Ksiądz biskup musi mieć także swoich adjutantów? Mogą się z moimi porozumieć. Widzę w dziedzińcu obszerne oficyny. Mój sztab tam się pomieści doskonale i oddział gwardji przybocznej.. Co do mnie, zadowolnię się tym jednym salonem; łóżko żołnierskie wystarcza mi najzupełniej! Nie będziemy tu zresztą długo popasali. Aby wytchnąć cokolwiek, a potem naprzód! po nowe zwycięztwa!

To szczere wyznanie, było jeszcze przeplatane planem dalszej kampanji, opowiedzianym z otwartością żołnierską i zdradzającym tęgą głowę, śmiały rzut oka i szybkie orjentowanie się w sytuacji. Biskup uszczęśliwiony, iż tak małym kosztem pozbędzie się wielkiego kłopotu, oddalił się z kilkoma oficerami aby się z nimi naradzić i wydać stosowne ku ich wygodzie rozporządzenia.

Jenerał został sam na sam z Edwardem i Tankredem.

— Siadajcie panowie — wskazał ręką na dwa fotele — i chciejcie mnie obznajomić z sytuacją obecną, jaką przedstawia przyszły teren walki.

Tankred pierwszy wystąpił z odpowiedzią. Podczas gdy opisywał zaszłe wypadki znane dokładnie naszym

czytelnikom, Humbert wpatrywał się bacznie w Edwarda. jakby sobie tę twarz przypominał. W rzeczy sam j, przed pierwszą jeszcze Hoche'a wyprawą do Irlandji, spotkali się byli z Edwardem w Brest. Gaillefontaine, wymienił wreszcie prawdziwe Edwarda nazwisko, tłumacząc, co go spowodowało i dotąd obowiązuje pod słowem honoru, nosić pseudonim margrabiego Grandlieu

— Chociaż mi tylko jedno zdrowe ramię zostało — dodał Fitz Gerald z zapałem — należę do was jenerale, ciałem i duszą!

— Niechże i tak będzie! — jenerał machnął ręką. — Jest więc tylko na świecie margrabia a raczej obywatel Grandlieu; przyrzekam zachować ścisłą tajemnicę. Zostańcie obydwaj przy moim boku Potrzebuję poinformować się nie w jednem co do kraju i jego usposobienia. Ale cóż mi to panowie zwiastujecie?... Powstanie w prowincjach południowych, ma być więc zupełnie stłumione?

— Niestety! — Tankred smętnie głową potrząsł — w morzu krwi utonęło! Czemuż tak późno przybywacie?!..

— Nic nie znaczy! — Edward wykrzyknął — skoro na czele armji!..

— Armji? — uśmiechnął się Humbert — wiecie przecież, iż jestem tylko jenerałem brygady a i ta nie jest w komplecie.

Dwaj panowie wypatrzyli się na niego z niedowierzaniem, sądząc że ich słuch myli

— Ot! — przerzucił ręką papiery rozłożone — ot spis urzędowy wojska oddziałów, z któremi wsiadłem w Rochelles na okręta.

I podał im dokument autentyczny, sprawdzony przez historyków.

Tankred i Edward machinalnie głową potrząsając miłosiernie, cyfrę głośno powtórzyli. Armja Humberta liczyła ledwie 1025 ludzi!

— No tak! — odparł jenerał bynajmniej z tonu nie spuszczając. — Chwilowo nie mam więcej niż tysiąc dwadzieścia pięć.. ale to bagatela!

Dwaj drudzy osłupieli na taką z jednej strony bezczelność Dyrektorjatu. a z drugiej zuchwałość Humberta. Z tą więc garstką chce Anglji całej stawić czoło i do walki ją wyzywa?!

— Gdzież park artylerji? — bąknął Tankred.

— Tymczasem mamy z sobą trzy armaty — Humbert z krwią najzimniejszą odpowiedział. — Ale musieli już wyprawić resztę korpusów z Cherburga i z Lorient. Wylądują zapewne w innej jakiej zatoce, więcej na południe, w Clown lub w Galwaj.

I palcem prowadził na chybił trafił po mapie Irlandji.

— Nie licząc — dodał w nawiasie — floty Republiki Batawskiej... Czy dotąd nie przybiła do brzegów Irlandji?

Dowiedziawszy się o zupełnem tejże zniszczeniu przez Anglików, ani na włos się nie zmienił i nie zniechęcił. Wykrzyknął z zapałem:

— Zostaje nam przecież Irlandja! Czyż Hoche nie mówił na łożu śmiertelnem: „Naród cały uciśniony, uciemiężony, jak jeden mąż powstanie, skoro ujrzy zbawców swoich sztandary.“ To przekonanie podzielają i wychodźcy irlandczycy, którzy z nami z Francji przybyli.

Edward zaniepokojony, żywo o ich nazwiska zapytał. Jeden z pomiędzy nich O'Nial, mógł by był go poznać i zdradzić *incognito*. Został w miasteczku, aby rozkwaterować żołnierzy francuzkich i służyć im za tłumacza. Edward uznał za stosowne uprzedzić go i pójść naprzeciw aby kwestję całą omówić.

— Do zobaczenia! — uścisnął mu dłoń Humbert, a zatrzymując Tankreda, który chciał przyjacielowi towarzyszyć: — Na słówko hrabio kochany! — przemówił. — Skorzystam z naszego sam na sam, aby się z tobą podzielić myślą, która mi nagle strzeliła do głowy.

— Służę jenerałowi! O cóż idzie?

— Ba! w tem sęk! Ale co tam się żenować! Przecie hrabio do nas należysz?..

— Tak.. niby...

— Jakto? Czyż byś myślał nas opuścić?

— Niezupełnie.. Chociaż ja wyłącznie zostaję, aby poświęcić się i wyratować Fitz-Gerald'a.

— A gdyby korzystając ze sposobności jenerał Humbert prosił cię hrabio o przysługę?

— Chciej się jenerale jaśniej wytłumaczyć.

— W takim razie racz usiąść napowrót hrabio. Ho! ho! to tak w dwóch słowach się nie skończy! Mamy długo z sobą do pomówienia...

— Ba! Doprawdy?

— I naprzód proszę o zachowanie w ścisłej tajemnicy, co powierzę hrabio li tobie, z całem zaufaniem.

— Będę zatem milczał jak grób! — Tankred usiadł na dawnem miejscu, okrutnie zaintrygowany i zaciekawiony.

XXXVIII.

Pierwsza Stacja.

Przez dłuższą chwilę jenerał Humbert wąs kręcił i naciągał. Widocznie ta prosba, czy też wyznanie, z trudnością mu przychodziło.

— Eh! — machnął ręką. — Najlepiej prosto z mostu — i roześmiał się z pewną serdeczną rubasznością — Nie powiem ci przecie hrabio nic takiego, o czem byś od dawna nie wiedział! Wyszedłem z motłochu z najniższych klas społeczeństwa. Matka puściła mnie na cztery wiatry, skoro mogłem na nogach się utrzymać i zacząć się włóczyć po ulicy. Ojciec zaś nieznany, ni widziany. postać mglista, rozpływająca się w powietrzu niby bańka mydlana, wyraz bez znaczenia, wykreślony raz na zawsze z mojego słownika! Zacząłem od tego, żem kominy wycierał; później roznosiłem w pudełkach drobiazgi. Zacząłem wreszcie skórkami handlować.. Zawistni, nieprzyjaciele zazdroszczący mi szybkiego awansu, przezywali mnie rozmaicie: „Dusicielem królików! Łapi-kotem“ i Bóg tam wie jak jeszcze! Nie myślę bynajmniej się zapierać! Przedawałem skórki rozmaite i były to jeszcze najlepsze moje czasy! Nie dziw też, że zostałem nieukiem Tak! tak, niestety! Zaledwie umiem się podpisać!

Jenerał choć z rumieńcem wstydu na czole, wybuchnął znowu śmiechem szczerym, rubasznym prawdziwie chłopskim. A zwracając się do Tankreda:

— Niech cię to hrabio nie gorszy, ale muszę ci coś zabawnego opowiedzieć. Dowiedziawszy się przypadkiem, że imię i nazwisko powinno się pisać wielką literą, wyobraziłem sobie, że od pierwszej do ostatniej wszystkie wielkie być powinny i hlast! podpisuję „HUMBERT“ samemi wielkiemi zgłoskami, siedm w rzędzie! Wystaw że sobie ten efekt piorunujący!... Na szczęście był to podpis na liście do Hoche'a adresowanym. „Pyszałku — rzekł z uśmiechem dobrodusznym — chcesz więc na-

wet do twojego nazwiska przypinać pióropusze?." i poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu. A mało jest takich na świecie, którym by wolno było śmiać się ze mnie w oczy. Na to potrzeba, żebym ich bardzo szanował i bardzo pokochał.

Coś go ścisnęło za gardło; umilkł nagle. Ochłonąwszy z wielkiego wzruszenia, wzrok badawczy wlepił w Tankreda.

— Nie wiem dlaczego—zaczął znowu—może żeśmy się zeszli raz pierwszy przy jego łożu śmiertelnem, a raz drugi nad jego świeżą mogiłą, kiedy serce moje na wskroś żałością przeniknione stało dla wszystkich otworem... alem i ciebie hrabio pokochał serdecznie i mam do ciebie dziwne zaufanie.. liczę na twój honor i dyskrecję. Hm, hm!—zawahał się i odchrząknął zmięszany. — Do stu piorunów! Już mi znowu w gardle uwięzło i ani rusz wykrztusić. Nie mógłbyś hrabio sam się domyśleć? Czy jeszcze nie wiesz o co mi idzie?...

— Na honor, nie mogę odgadnąć.

Jenerał zdecydował się nareszcie:

— Oto—zakonkludował—trzeba by mi gwałtem sekretarza, przyjaciela szczerego, dyskretnego... aby poprawiał moje błędy ortograficzne i... wszelkie inne... Ach! ten uśmiech poczciwy na twoich ustach, Hoche'a mi tak przypomina .. Zrozumiałeś? Przyjmujesz?

— Z całego serca! — Tankred zawołał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy)

VI.

Wielkie namiętności można opanować i kierować mocą olbrzymiej siły tylko. U Napoleona zamienia się ona w instynkt niezwykle głęboki i cierpki, w instynkt, który każe mu, czyniąc siebie środkowym punktem wszechrzeczy, wszystko do własnej odnosić osoby. Siła ta, innemi słowy to egoizm, nie bierny jednak, lecz czynny i zaborczy, zastosowany do rozległości jego pojęć, rozwinięty przez wychowanie i sprzyjające mu okoliczności, samolubstwo do tego stopnia rozdmuchane przez powodzenie i potęgę, iż staje się potwornem. Wsparty też nienasyconemi jego pragnieniami, stawia wśród społeczeństwa ludzkiego jedno *ja* olbrzymie, które wyciągając chciwe swe szpony, coraz większe ogarnia niemi koło, a oburzone oporem, nie znosi niczyjej niepodległości; w ograniczonej bowiem dziedzinie, jaką sobie przywłaszcza prócz siebie chce widzieć jedynie ślepe narzędzia własnej woli. Nietylko w młodzieńcu, ale w dziecku nawet kiełkował już zarodek tej samodzielnej, wszystko pochłaniającej indywidualności. „Charakter lubiący przewodzić nad innymi, uparty, rozkazujący," — opiewa Brienne w swych notatkach. — „Niezmiernie skłonny do egoizmu" — dodają uwagi szkoły wojskowej — „obdarzony wygórowaną miłością własną ambitny, rojący o wielkiej przyszłości, zamiłowany w dumaniach samotnych," co wynikało ztąd zapewne, iż w towarzystwie równych sobie nie mógł przewodzić, rozkazywanie zaś było mu niezbędnie do zadowolenia potrzebnem.

„Żyłem zupełnie odosobniony, zdala od mych kolegów" — opowiadał później. — „Obrawszy sobie w obrębie szkoły cichy zakątek, chroniłem się doń, by marzyć spokojnie. Gdy towarzysze próbowali mi zabrać to ulubione ustronie, broniłem go z całych sił, instynkt bowiem mówił mi już ówcześnie iż wola moja powinna odnieść zwycięztwo nad wolą innych, że to, co mi się podoba, musi moją być własnością". — Cofając się dalej jeszcze i malując pierwsze lata dziecięce, spędzone pod dachem ojczystym na Korsyce, Napoleon przedstawia siebie jako dzikiego, o złych skłonnościach urwisza, którego nieulegly, z pod wszelkich praw wyłamujący się charakter, zdradzał już brak sumienia „Nic we mnie nie wzbudzało poszanowania, nie lękałem się też nikogo; biłem jednych, drapałem drugich, wszystkim zaś umiałem się dać we znaki. Niezadowolony z pobicia i pogryzienia brata mego Józefa, zanosiłem jeszcze skargę przeciwko niemu".

Wybieg to tak wyśmienity, strategja tak doskonała, iż nie omieszkiwał powtarzać jej w życiu; dar bowiem improwizowania kłamstw na poczekaniu zamieniał się u niego w istny talent; później, jako człowiek dorosły, nietylko szczyci się nim, ale nawet czyni go warunkiem i miarą wyższości politycznej, przyczem przypomina chętnie, iż jeden z wujów przepowiadał zawsze, że „mały Napoleon przez kłamstwa opanuje z czasem świat i rządzić nim będzie".

Zdanie to należy zapamiętać, gdyż streszcza ono doświadczenie i poglądy człowieka, którego można uważać słusznie za przedstawiciela swojej epoki i swego kraju. Takie nauki dawało ówczesne życie społeczne w Korsyce; moralność nie rządziła obyczajami, lecz stosowała się do nich. Zwykły to wynik, znany po wsze czasy i wszędzie tam, gdzie policja nie ma żadnej władzy, a sprawiedliwość nie istnieje, gdzie rzeczy publiczne stają się własnością tego, kto je zagrabi, a wojny domowe, niczem nie powstrzymywane, niszczą kraj bez litości; gdzie świat cały żyje pod bronią, oręż zaś każdy za dobry uchodzi; gdzie udawanie, fałszerstwo, oszustwo, strzelba i puginał jednakowem cieszą się uznaniem — a takim właśnie był stan Korsyki w XVIII w., odpowiadający w zupełności stosunkom, jakie trzysta lat przedtem rządziły wszechwładnie we Włoszech. W nich to należy szukać przyczyny pierwszych wrażeń ludzi podobnych, jak Borgia, Machiavel i Bonaparte, pierwszej podstawy poglądów ich, które później w głębokie zmieniły się przekonania; na nich bowiem oparli oni budowę gmachu umysłowego i pojęć swych o ustroju społecznym ludzkości. Gdy opuszczając szkoły francuzkie przyjeżdżał Napoleon do kraju, każdy pobyt na ziemi rodzinnej, zdwajając wrażenia pierwotne, wzmacniał również ostateczny ich wynik.

W Korsyce — pisze jeden z komisarzy francuzkich — lud nie jest w stanie zrozumieć zasady, jako idei oderwanej, bez względu na to, czy dotyczy ona interesów społecznych lub pojęć sprawiedliwości. Poczucie tej ostatniej wreszcie — to czczy dźwięk; wymiar jej nie istnieje prawie, skoro w przeciągu dwóch lat popełniono tu bezkarnie sto trzydzieści morderstw... Wprowadzenie sądów przysięgłych najzgubniej oddziałało na poziom moralny ogółu, uniemożliwiło bowiem ukrócenie cugli występkom. Najsilniejsze dowody, fakty najbardziej nawet niezbite, nie skłonią sędziów należących do tego samego stronnictwa lub do tej samej co oskarżony rodziny, aby nań wydali wyrok potępiający, — gdy zaś przestępca z innego pochodzi obozu, przysięgli uwalniają go również, z obawy przed spóźnioną niekiedy, ale nieuniknioną zemstą. Łączność ogólna jest także nieznaną, jednolita i zwarta organizacja społeczna nie istnieje bynajmniej, naród bowiem cały dzieli się na mnóstwo drobnych nieprzyjaznych i wiecznie wojujących z sobą stronnictw. Wyłączenie się z nich istną jest niemożliwością—ktokolwiek bowiem

spróbowałby w Korsyce do żadnej nie należeć rodziny, ściągnąłby tylko na siebie nienawiść ogólną. Dla przywódców wszystkich tych drobnych partyj pieniądz głównym jest ideałem. zdobycie go zaś jedynym celem, wobec którego na środki mniejszą zwracają uwagę, a otaczając się osobistościami ślepo sobie oddanemi, niemi też wszelkie obsadzają urzędy. Wybory odbywają się zwykle z bronią w ręku, przy współudziale krwawych nieraz gwałtów, stronnictwo zaś zwycięzkie używa władzy swej ku pognębieniu tych, którzy z niem walczyli, co musi — rzecz prosta — mnożyć nieprzyjaźń, gniewy i nowe ich przejawy. Przewódcy ci wreszcie, utworzywszy między sobą dwa związki arystokratyczne, tolerują wzajemnie nadużycia swe, patrząc przez szpary na wszelkiego rodzaju wybryki. Dla zdobycia głosów wyborczych, przez życzliwość krewniaczą lub stronniczą, uwalniają całe okolice od podatków; komory celne służą tylko do użytku przyjaciół, pensje nie dochodzą miejsca przeznaczenia. Wioski dla braku bezpieczeństwa opuszczane bywają, rolnik zaś przywykł chodzić za pługiem ze strzelbą na ramieniu. Człowiek obcy nie może zrobić kroku bez eskorty zbrojnej; z jednym listem, na którego dojściu zależy cokolwiek, trzeba nieraz pięciu lub sześciu wysyłać ludzi."

(Ciąg dalszy nastąpi).

PORADNIK DOMOWY.

Aby muchy nie zanieczyszczały źwierciadeł i obrazów,

poleca się obmywanie tych przedmiotów wodą, w której przez niejaki czas pokrajany czosnek moczony; muchy bowiem nie mogą znieść zapachu czosnku

Pożywienie kur, aby w lecie i w zimie niosły jaja.

Ususzyć w ciepłym piecu po chlebie, lnianego siemienia, następnie utłuc go grubo w stępie i zmięszać z równą ilością otrąb pszennych i mąki żołędziowej; pomięszawszy to wszystko dobrze, dodaje się trochę wody, robi ciasto i poskubawszy lub posiekawszy, daje za karm kurom. To pożywienie taką sprawia u kur płodność, iż cały rok nieść się będą, a jaja będą wielkie i nie rzadko po dwa żółtka w sobie zawierające.

Nowa karma dla gęsi.

Fusy z kawy mięszać z niewielką ilością otrąb, a z tej mięszaniny robić kluski, które należy wysuszyć, aby stwardniały. Gęś karmiona tymi kluskami prędko się tuczy, a mięso jej nabiera wybornego smaku

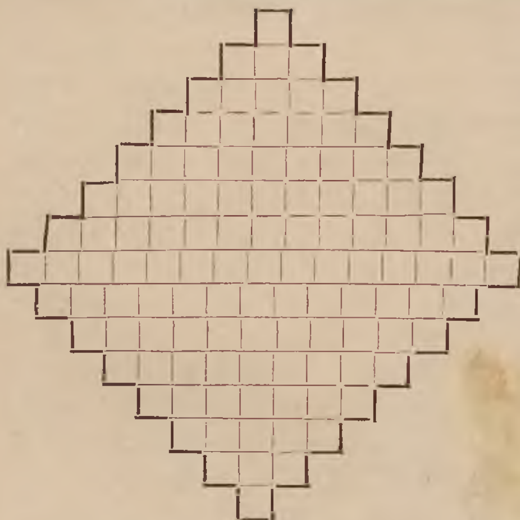
Chcąc jaja zachować czas dłuższy od zepsucia

należy je obmyć, wysuszyć, a potem jakimbądź tłuszczem osmarowawszy, włożyć w sieczkę i zachować w piwnicy

Wywabianie plam atramentu z podłogi lub mebli.

Zastarzałe plamy atramentowe bardzo trudno wychodzą z drzewa, i tak najlepiej naprzód wytrzeć plamy suchym piaskiem rzecznym, a następnie polewać je płynem zmięszanego jednego łuta witryolu z ośmu łutami wody miękkiej, a gdy plamy znikną, wyszorować te miejsca ługiem lub czystą wodą z mydłem. Póki plamy świeże, najlepiej jest zaraz szorować na zimno wodą miękką z szarem mydłem.

Zadanie diamentowe.



spółgłoska
pytajnik
materja
kamienie
śpiewaczka
francuska posiadłość
zasłużony literaturze
? ? ? ?
duchowny
tytuł komedji
taniec
kraj
mieszkaniec górski
rzeka
samogłoska

Środkowe litery z góry w dół i poprzecznie czytane, dają imię i nazwisko jednego z polskich hetmanów.

Zagadka.

(ułożył p. Bronisław Iłłukiewicz ze Lwowa)

Jestem tem czem jestem,
Nie jestem tem czem jestem;
Gdybym był tem czem jestem,
To nie byłbym tem czem jestem.

Łamigłówka z liter.

a, a, a, c, c, c, d, d, e, e, e, g, h, i, i, i, j, l, n, n, o, o, ó, o, r, r, s, w, w, w, y, z, z z, z

Z powyższych liter ułożyć przysłowie

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **powieść J. Wdowiszewskiego „Cywilizator“**

Rozwiązanie zadania konikowego.

Kiedy woda kraj nasz topi,
A w gorzelniach straszne smutki;
Krzyczą pany, jęczą chłopi
Woda, wódka, wody, wódki!

Rozwiązanie łamigłówki.

1 Lwów 2. Ello 3. Suwarów 4. Zadora 5. Cyrkiel 6. Zulus 7. Ignacy (wspak). 8. Niemen 9. Starka 10. Kotlet 11. Ibis.

Leszczyński — Stanisławów.

Rozwiązanie łamigłówki.

	D	a	l	e	l	F	
	M	a	i	s	u	R	
		O	a	z	A		
	C	y	k	l	o	N	
		H	a	r	C		
O	b	o	r	n	i	k	I
		W	e	l	S		
	S	a	r	w	i	Z	
	K	u	r	y	l	E	
	I	r	k	u	c	K	

Dmochowski Franciszek.

Dobre rozwiązanie wszystkich zdań nadesłała p Bernacka z Krakowa.

Dobre rozwiązanie zadania konikowego nadesłali: Wanda Oświecimska z Jawora, Stanisław Faliszewski z Zaleszczyk, Stefania Grabowska z Wadowic.

Nagrodę przeto otrzymała p. Marja Bernacka

Celem sprawiedliwszego rozdziału premij między naszych prenumeratorów, postanawiamy odtąd, iż w ciągu kwartału można jedynie raz otrzymać premję za rozwiązanie łamigłówek.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz Zarządzca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak